



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.



Piękna wieś Wagram w Austryi, w obwodzie Unterwienerwald leżąca, krwawo jest zapisana na kartach dziejów. Dnia 5 Lipca 1809 r. dwa ogromne wojska stanęły naprzeciw siebie w jej pobliżu, aby rozpocząć morderczą walkę. Tysiące ludzi w wyćwiczonych sztykach, pod francuzkim sztandarem z jednej strony, pod austryackim

z drugiej, miało za chwilę na rozkaz wodzów godzić wzajemnie swe życie. Doktor Salsdorf, chirurg saski, stał już w narządzie obronem miejscu w pogotowiu ze swymi narzędziami przyborami, aby wedle obowiązku i powołania naprawiać ile się da krzywdy, jakie ludzie sobie wyrządzają. Wtém uczuł dotknięcie przyjacielskiej ręki na swém ramieniu i wesoło głos zawołał tuż za nim:

— A pamiętaj tam o najlepszych przyjaciółach, doktorze! Masz tam już co gotowego dla mnie? nóż, czy szarpie?...

Na taki w pół smutny w pół junacki żarcik, Salsdorf odwrócił się i ujrzał przebiegającego na koniu młodego adjutanta Kerburga, który jeszcze kłaniał mu się po wojskowemu z daleka. Salsdorf bardzo kochał adjutanta, tak prawie, jakby ojcowskie powiąwszy doń przywiązanie, mruknął więc, spoglądając za nim z uśmiechem:

— Żartuj zdrów, młody sowizdrzale, może też uda ci się cało wyjść z dzisiejszej bitwy; przecież nie wszyscy znów padają lub ranieni bywają, którzy stają do boju.

Salsdorf jeszcze mrucał te wyrazy, gdy bitwa już się rozpoczęła i to właśnie w stronie, w którą popędził adjutant Kerburg. Spoglądał też bacznie w tamtą stronę doktor, gdy burza nagle zaczęła się zbliżać i pierwsza bomba, upadająca w pobliżu, roztrzaskała jemu samemu nogę. Doktor w pierwszej chwili padł, jak długi, ale po jakimś czasie podniósł się do połowy na rękach i usiadł, oglądając bacznie swoją nogę. Skrzywił się i pokiwał głową, mrucając:

— Brzydka sprawa, trzeba będzie odjąć tę strzaskaną nogę, niema innej rady; hm! i to jeszcze na samym początku bitwy; będę teraz oto leżał, jak niedolega, na tym wzgórkach i przypatrywał się bitwie, a sam na nic się nikomu nie przydam; fe! głupia sprawa! — i splunął doktor z gniewu w stronę owęj bomby, chociaż ból ściągał mu wszystkie nerwy kurczowo. Nagle spojrzął w bok i krzyknął: wśród wojennej wrzawy adjutant Kerburg, powracając właśnie po rozkazy do wodza, padł ugodzony kulą o piętnaście ledwo kroków od Salsdorfa. Krew buchnęła mu obfitym strumieniem, a on, poprawiając się w niewygodnym położeniu, zawołał:

— Ej! doktorze! toś i ty już oberwał? o, do licha, nie mogłeś też poczekać trochę, ażbyś mnie opatrzył; a któż mnie teraz potrafi tak jak ty opatrzyć, kolego?

Żwawy adjutant mówił to wesoło, ale tymczasem bladł już nieznacznie, bo krew uchodziła szybko.

— Hm — rzekł doktor — do opatrzenia znajdzie się nie-

jeden, ale lękam się, czy nie znajdzie się zapóźno, bo krew twoja okrutnie się śpieszy...

— To prawda, leje się, jak szalona! — przyznał adjutant i siłował sam ją zatamować, ale to mu się nie udawało. Aż Salsdorf rzecze:

— Nie dasz temu rady, czekaj, może ja poradzę sobie jakoś z tą swoją nogą i dostanę się jeszcze z bandażami do ciebie.

— Czyś rozum stracił! to wysilenie może cię zabić! — zawołał adjutant. ale doktor nie słuchał go, tylko czołgał się ku niemu, aż się przyczołgał i opatrzył go porządnie, mówiąc przy tej robocie:

— Niechże choć ciebie jednego opatrzę, abym przecież wiedział, po co tu się na tę bitwę przywlokłem do licha.

Opatrunek ten, wczas dokonany, ocalił życie adjutanta. Rannego doktora zawieziono po bitwie do Wiednia, gdzie zaledwo cztery dni przeżył po amputacji strzaskanój nogi.

CO KOCHAĆ TRZEBA.

(Dla Helci i Mani F. od Sikorki).

Wszystko co piękne kochać potrzeba,
Więc przedewszystkiem cudną przyrodę,
Jasno-niebieskie przezrocza nieba,
W strumyku rażno płynącą wodę.

Kwiatki prześliczne, cudnie pachnące,
Czy to w ogrodzie, w polu, na łące,
I ptaszki śpiewne, krzewy i drzewa,
Wszystko to, wszystko kochać potrzeba.

Litość jest piękną, piękniejszą bywa,
Jeśli ją cichość czynu pokrywa,
Szlachetność serca, szlachetność duszy,
Łza, gdy bliźniego nędzą cię wzruszy.

W wielkim pałacu, czy w małej chacie,
Pośród marmurów, pod dachem nieba,
Znajdziemy piękno w swój jasnej szacie,
Tylko wynaleźć je nam potrzeba.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

Przy ulicy Elektorálnej w Warszawie, w dużej i pięknej kamienicy, przy otwartém oknie na pierwszym piętrze, stoi dziewczynka i obrywa uschłe listki z kwiatków. Dziecko to jest ładne, bardzo ładne nawet, ciemne duże oczy mają taki łagodny i słodki wyraz, że ujmują każdego za serce, biała, ściągła twarzyczka o wyniosłem nieco czole, zgrabny nosek i koralowe małe usteczka, dopełniają całości. Dwa grube, ciemne warkocze, obciążają jęj główkę swym ciężarem. Dziewczynka może mieć lat dwanaście, jest szczupła i drobna.

W pokoju nima wicęćj nikogo, tylko po środku siedzi na tylnych łapach ogromny pies czarny o długiej, połyskliwej jak jedwab sierści, z świecącą obrozą na szyi. Pies widocznie niecierpliwi się długim zajęciem panienki, bo przechyla głowę to na jedną to na drugą stronę, pozwala sobie nawet czasem ziewnąć dość głośno, może robi to dla zwrócenia uwagi na siebie, bo nie spuszcza rozumnych swych oczu ani na jedną

chwile z dziewczynki, stojącej przy oknie. Ale ona nie wid tego, jest bardzo pilnie zajęta obrywaniem listków, które st rannie składa w koszyczek, ustawiony po to na oknie. I kilku minutach pies, nie mogąc się doczekać końca tój prac zdecydował się na małą drzemkę, wyciągnął się więc na podłodze, westchnął głęboko i zmrużył oczy, otwierając co chwila, jakby miał obowiązek czuwania nad młodą panią.

— To już i ostatni suchy listek — mówi dziewczynka gł śno — widzisz, mój Kruku, że to nie tak długo trwało. Cóż znów śpisz, jak widzę — mówiła dalej wesoło — przymykaś oczy i wdychasz; już ja wiem, o co ci chodzi, gniewasz się zawsze, jak cię nazwę Krukiem, jesteś arystokratą, mój pi sku, ho ho, chciałoby się nazywać Milordem może, jak tw kolega z przeciwnika. Nic z tego, mój kochany, samo nazwisko nie znaczy, jak powiada tatuś, bądź tylko zawsze tak d brym, wiernym, jak dotąd, to uszlachetnisz swe imię. N podnieś się i chodźmy, wiesz, że za kwadrans mam lekcję muzyki, musimy wszystko uszykować, a po drodze wstąpię do pokoju matuleńki. Tatusia nima, jeszcze spałam, ja wyjechał gdzieś do chorego, ach, Boże mój, żeby też to ty chorych nie było na świecie, toby tatuś ciągle w domu siedział. Niedobrze być doktorem, prawda, mój Kruku? człowiek chw li nima spokojnej. E, nudny dziś jesteś, mówię do ciebie jak do kogo mądrego, a ty oczy przymykasz i otwierasz, wdychasz i ogonem bijesz o posadzkę. Ach, tak zawsze nudny jak tatuś pojedzie. Słyszysz? dzwoni ktoś, ach, poznaję, to panna Jadwiga przychodzi na lekcję. Oj ty szkaradny Kruku, przez ciebie nie uszykowałam nic do lekcji.

Dziewczynka poskoczyła do przyległego salonu, do którego wchodziła właśnie młoda osoba w skromném, czarném ubraniu, a spojrzawszy przyjaźnie na zarumienione dziewczętkę rzekła wesoło:

— Dzień dobry, Lenko, cóż tak strwożoną masz minę czy cię jakie zmartwienie spotkało? Może znów co nowego Kruk zbroił, albo jaki kwiatek nie chce się zbyt prędko rozwinać? Wiem, że przechodzisz takie kłopoty dość często.

— Pani żartuje — rzekła dziewczynka, całując przybyłą — a ja mam naprawdę wiele dziś zmartwień od rana. Znów dzień bardzo nieszczęśliwy, gdym się zbudziła, powiedziano mi, że tatuś w nocy pojechał do chorego, i jeszcze dotąd nie wrócił, a to już przecie dwunasta dochodzi.

— Prawda, że to niemiło, ale do tój nieprzyjemności po winnaś się już przyzwyczać, moja Lenko, a powtóre — mówiła przybyła panna poważnie — gdy pomyślisz, że twój tatuś ratuje może matkę kilkorga dzieci, może ojca licznej rodziny, to nie powinno ci być tęskno i smutno, kochanko. Jak się masz, Kruku — dodała żartobliwym znów tonem, i wyciągnęła do psa małą, zgrabną rękę, na której on z zadowoloną miną położył ogromną swą łapę.

— Czy wie pani — rzekła Lenka — że Kruk nie każdemu chce podać łapę; wczoraj byliśmy u wujostwa, zastaliśmy tam kilka osób, był także jakiś pan niemłody, któremu Kruk nie chciał podać swój łapy, choć mu tatuś po kilka razy kazał to uczynić. Położył się na ziemi, schował łapy pod siebie i udawał, że nie słyszy.

— Psy mają instynkt, i prędzej czasem niżli ludzie poznają złego człowieka. Lecz chodźmy do lekcji — rzekła młoda nauczycielka, spoglądając na zegarek — zagawędziłyśmy się trochę, i dotąd nie zapytałam o zdrowie twój mamy.

— Mateńka zdrowa — odrzekła dziewczynka — dziękuję pani, zajęta dziś bardzo pilną robotą, wykończa poduszkę po nogi na imieniny babuni.

Godzina muzyki minęła z zupełném zadowoleniem nauczycielki, Lenka miała wielkie zdolności, dużo także i zamiłowania. Grała już bardzo dobrze i zapowiadała na przyszłość artystkę.

Ponieważ następną godzinę p. Jadwiga miała wolną, na prośbę Lenki poszła odwiedzić jęj matkę. Dziewczynka uradowana, że prowadzi ulubioną swą nauczycielkę, biegła wesoło naprzód przez parę gustownie umebrowanych pokojów, a stanąwszy we drzwiach, prowadzących do biblioteki, zawołała:

— Matuchno, proszę zgadnąć, kogo tu prowadzę?

Zgadnąć było łatwo, bo matuchna dwa razy zaglądała, jak ochana córeczka grała, i teraz przed chwilą dopiero wróła do swego pokoju. Udając jednak niedomyślność dla zawolenia dziewczynki, wymieniła parę innych mniej uciążliwych do niej osób.

— Wejdźmy już, Lenko — rzekła p. Jadwiga — nie możemy trzeźwić tak długo — i z temi słowami weszły do pokoju, gdzie matka dziewczynki zajęta była haftem jedwami na ciemnym aksamicie.

— Ach! to p. Jadwiga, gość zawsze nam miły i pożądana, chociaż tak rzadki — rzekła pani domu, podnosząc się zreszła, i uprzejmie podając przybyłej rękę na powitanie — oszę, siadaj pani tu przy mnie — i to mówiąc, wskazała miejsce przy stoliku, przy którym i sama usiadła — Lenko — skła ciszej do córki — każ podać czekoladę i ciastka.

Dziewczynka jak ptaszek wybiegła z pokoju, a p. Jadwiga bosiła o pozwolenie obejrzenia pięknej roboty, którą matka nki odłożyła na stronę.

— Jakiż przesliczny deseń! Te lilie wodne zupełnie jak naturalne, jaki dobór kolorów — mówiła młoda panienka, ładając robotę — z prawdziwą przyjemnością robiłabym podobnego, gdybym miała... — chwilę się zawahała, lecz dała zaraz wesoło i swobodnie — gdybym miała pieniądze kupno materyału.

— Czasami potrzebujemy zrobić wydatek, który się zbytem nazywać może — rzekła pani domu, składając robotę awijając ją starannie w biały muślin — i wierzaj mi, kochana p. Jadwigo, że gdybym ją złotem haftowała i kosztami perłami, jeszcze nie uważałabym jej za godny dar dla oby, dla której jest przeznaczoną.

Słowa te wymówione były z głębokim uczuciem i rozumnieniem niemal, z którego otrząsając się, dodała:

— Zachwycasz się pani deseniem; jest to rysunek i układ jej siostry, i dla tego też dokładam nadzwyczajnego starania, by wykonanie odpowiadało pomysłowi. Żałuję, że moja na nie ma zdolności do rysunków, uczy się, i pracuje nawet, e nigdy nie doścignie ciotki.

— Trudno, szanowna pani, o wszystkie doskonałości jednej osobie; Lenka ma znakomity talent do muzyki, dziś gra bardzo dobrze, rozumie muzykę, Lenka będzie artystką — dodała z ożywieniem p. Jadwiga.

W tej chwili wesoła dziewczynka, nie mając wcale miny artystki, wbiegła żywo do pokoju, ciągnąc za obrożę opierającego się jej Kruka, a stanawszy przed matką, rzekła z koczującą powagą:

— Patrz, matenku, oto winowajca, widzisz, jaki zawstyony i smutny; nie chciał tu przyjść nawet, ledwie go zmusiłem do posłuszeństwa. Widzisz, Kruku, jak to przykro źle być.

Pies stał bardzo zawstydzony, zwiesił głowę ku ziemi, i już wet nie próbował uwolnić się z rąk dziewczynki.

— I nie żal ci, Lenko, tak zawstydzac twego ulubionego Kruka, przyjaciela prawdziwego i towarzysza zabaw od lat ku — rzekła matka z wymówką w głosie, choć z uśmiechem trzała na dziewczynkę.

(d. c. n.)

JĘDREK SZALONY,

p. Z. Morawską.

Nad starym Lwa grodem słońce jesienne smutno zachodziło. Blaski jego migotliwe, blade, nie dawały dobrej otuchy; a chociaż i rzucały czasem jaśniejszym promieniem, to tylko dla tego, ażeby oświecić zniszczone i zdeptane pola, zwałone chaty, lub przedrzeć się przez dym, włóczący się niewie po całej okolicy... A właśnie oto dym z lasu rozodził się, przynosząc jakiś szum z oddali. Czasem dym ten wsiadł ponad drzewa, strzelił słupem ku górze, lub ciemnym łokiem okrył wysokie sosny.

— Dym z lasu, pewnie smołę palą — rzekło chłopię, siedzące na przyźbie rozwalonej chaty, gdy tymczasem stara niewiasta rozniecała ogień na czerniejącym wśród rozwalin kominie.

— Oj smołę, ale jej pono będzie zawiele! — odmrunknęła stara.

— Och, ale patrzcie, babulu, jako jakieś światełko z pomiędzy drzew migocą — zawołał po chwili chłopak.

— Chryste Panie! co gadasz, Jędreku — rzekła, odwracając się, babula — to już chyba koniec świata! A toć las na drodze do Lwowa się pali.

— Las się pali? — powtórzył chłopak, i powstawszy, zdziwionemi oczyma spojrzął na babkę, potem na las, z pomiędzy którego wyskakiwały czerwone płomyki.

Przez chwilę płomyki wyskakiwały i znów kryły się wpośród gęstych drzew dymiącego lasu; resztki nieopadłych liści lub zwilgocone jesienną mgłą igły sosen i świerków chroniły się od owych czerwonych, strasznych uścisków, którymi ogień powoli je ogarniał. Jędreku, stojąc przed chatą, patrzył w owe płomienie, gdy tymczasem babula, szepcząc modlitwę i przepłatając ją skargą i narzekaniem, związała resztki porzucanego odzienia, a zarzuciwszy węzełek na plecy, rzekła:

— A toć nie stój tam, Jędreku, z rozdziawioną gębą, ino zabieraj, co można, a dalej tam w rozpadlinę, bo to Wołosi znowu palą.

— Wołosi? — powtórzył chłopiec — ciągną na Lwów? — pytał, nie odwracając oczu od szerzącego się wśród lasu ognia.

— Bies ich wie, gdzie ciągną, spalili już i splądrowali chaty, to się i do grodu zabiorą.

Lecz babula wyrazy te rzuciła już tylko na wiatr, który je echem wśród pustki powtórzył. Jędreku pędził drogą tam, gdzie wśród mgły jesienną migotały z dala wieżycy starego grodu.

— I ten Jędreku szalony poleciał! — mruknęła stara — wicher go chyba dogoni! ale niechaj, taka już chłopaków doła! Gdy wrócą, zastaną chociaż kątek, ba i tę odrobinę. — I mrużąc szła, dźwigała zebrane węzłki, aż wreszcie zniknęła wśród wzgórz porośniętych krzakami. Jędreku tymczasem pędził do Lwowa.

— Wołochy las palą! — wołał, jakgdyby chciał, ażeby wicher rozniósł jego słowa, i ostrzegł od niebezpieczeństwa. Ogień się szerzył, łunę szeroką rozlewał po niebie, a nieprzyjacieli roznieconą przez siebie pożogą budził czujność mieszkańców. To też i Jędreku nie mógł dostać się do bram miasta, od owej strony były zamknięte, a od drugiej, mimo zapadłej już nocy, słychać było trzask i wrzawę, która mięszając się z hukiem, idącym od walącego się lasu, przerażała wszelkie żyjące stworzenie.

Jędreku, nie bacząc na porostawiane przez Wołochów strażę, obiegił dokoła gród stary; wszędzie tłumy nieprzyjaciół, tylko od zachodu mniej owego mrówiska, co się do miasta wedrzeć chciało.

— Oni się bronią — mruknął Jędreku i popędził dalej.

A Bohdan, wojewoda wołoski, nakazawszy od zachodu las podpalić, aby posiłki nadejść nie mogły, sam od południa pod Lwów się posuwał. Z jednej więc strony pożar, z drugiej wrzawa walki przestraszały mieszkańców, którzy po niedawnym napadzie tychże Wołochów, powracać zaczęli do rozwalonych chat i zniszczonych jesiennych zasiewów. Każdy się krył znów do jam i rozpadlin; zresztą, gdzie kto mógł, jako i babula, jeden tylko Jędreku pędził, nie zważając na nic a może nie rozumiejąc wielkości niebezpieczeństwa. Dech mu w piersi zamarł, gdy ujrzał, co się dzieje pod Lwowem. Przypadł do wilgotnej ziemi, przyłgnął zda się do niej i wsłuchiwał się w owe straszne odgłosy bitwy, które zamiast go przerażać, dodawały odwagi.

— Oni się tam bronią! — zawołał — ba, może i obronią. Tam tatulo i bracia! A jak nie obronią, to Wołoch i dalej pociągnie, a tam kraj ma być piękny!

I to rzekłszy, zerwał się, znów pędził a pędził, okrążając ów palący się las i oddalając od oblężonego miasta. Jędreku,

wyrostek w granatowej opończy, przewiązany pasem słoniowym, bosy, z rozwianym włosom i roziskrzonymi oczyma, podobny był do jakiegoś zjawiska, roznoszącego wieść kłeski. Czasami zatrzymał się, napił wody, ktoś podał mu kęs chleba a pokiwaawszy głową, szepnął: „szalony”, i poszedł w swoją drogę, aby uchronić się od zbliżającego nieprzyjaciela, a Jędrak pędził wciąż i pędził. Gdyby mógł zwrócić uwagę na cośkolwiek, dojrzałby, że im więcej oddalał się od pałacego lasu, spotykał kraj mniej zniszczony, chaty nie porozwalane, a ludzi wystraszonych widzianą łuną, lecz nie rozumiejących jeszcze wielkiego nieszczęścia, jakie spotkało ziemię, na południe od Lwowa leżące. Tu i tam tylko usłyszał, że wojska wielkie ciągną od Krakowa na pomoc. Gdzieby one były, Jędrak nie wiedział; biegł, bo Lwów oblegał nieprzyjaciel! On chciał tam sprowadzić świat cały, aby to miasto ocalić, bo tam, tam za murami był jego ojciec i bracia! Oni walczyli i on chciał nieprzyjacielowi przeszkadzać!

Jak długo biegł, nie wiedział. Siły opuściły go, legł wśród drogi, zda się, że zasnął. Naraz rozbudziły go jakieś głosy... Otworzył oczy, wojsko długim rozłożyło się szeregiem, zbroje polyskiwały przy świetle księżyca, konie parskały, a każdy żołnierz był jak król bogato odziany. Opoadał stał rycerz w pięknej zbroicy. Jędrak siły odzyskał, zerwał się, wołając:

— Wołosi pod Lwowem! Wołosi pod Lwowem!

Któryś z żołnierzy chciał go odsunąć, lecz hetman Mikołaj Kamieniecki idący na czele skinął ręką, przyprowadzono przed niego sianiącego się ze znużenia Jędraka.

— Coś zac? — zapytał rycerz.

— Wołosi pod Lwowem! — krzyknął Jędrak, i upadł u nóg hetmana.

Kamieniecki zmarszczył brwi i schylił się ku niemu.

— Zkąd jesteś? — zapytał, chcąc podnieść leżące u nóg jego chłopię.

Lecz Jędrak omdlał, leżał prawie bez życia.

— Otrzeźwić go — zawołał hetman, a nie czekając, aż ktoś to uczyni, sam wlał w usta omdlałego jakiś kordyał, który mu przyniesiono z wozów, idących z zapasami za wojskiem. Jędrak oczy otworzył, obejrzał się i znowu zawołał:

— Wołosi pod Lwowem! Wołosi pod Lwowem! Las podpalony!

Hetman pokiwał głową i spojrzał w twarz chłopca, jaśniejącą jakimś ogniem niezwykłym.

— Pomocy im! Las podpalony! Wołosi pod Lwowem! — powtarzał Jędrak, obejmując nogi hetmana i podnosząc ku niemu wzrok pałający.

— Siodłać konie! — zawołał Kamieniecki, a zwróciwszy się do młodego pułkownika, dodał: — Mości Żelichowski, weźmiesz swoich ludzi i pociągniesz pod Lwów. Obleżeni niech się bronią, przyjdziemy im z pomocą, ale z innej strony. Między oblegających do Bohdana puścić wieść, że ja z wojskiem ciągnę na Wołoszę.

Żelichowski nie rzekł ni słowa, skłonił się tylko po żołniersku. Po chwili jechał na czele swego pułku wedle rozkazu. Tuż obok dowódcy, na siodle doskonale usłaném, jechał Jędrak. Oczy błyszczały mu, jako dwie pochodnie, a chociaż ledwie trzymał się na koniu, wskazywał drogę ciągnącym na pomoc. Gdy już z dala echo przynosiło szum bitwy, a w powietrzu czuć było dym i spaleniznę, zawołał:

— Od strony gorejącego lasu najmniej miasto obleżone!

— I znów znużony pochylił się na siodle, a spokojny koń wiózł go pod ów Lwów, który tak pragnął ocalić!

Hetman Kamieniecki tymczasem szedł szybko brzegiem Dniestru ku Wołoszy, zostawiając za sobą strażę, któreby mu doniosły o ruchach nieprzyjaciela, wracającego z pod Lwowa. Jesień pogodna pozwalała wojsku odbywać bez wielkiego trudu drogę, a Kamieniecki nie tyle patrzył na tych, których mógł spotkać przed sobą, lecz czy tylne strażę nie doniosą mu o odwrócenie tych, którzy stali pod Lwowem.

Wreszcie dnia 3-go Października, u przewozu na Dniestrze, naprzeciw Kamieńca Podolskiego, ujrano Wołochów, wychylających się z niewielkiego lasu. Hetman znał podstępne sposoby wojenne Bohdana; zanim więc rozpoczęli walkę, ka-

zał się rozdzielić swojemu rycerstwu, a gdy jedni w krąg las otoczyli, ażeby pokonać wracającą z pod Lwowa Wołoszę, inni przez Dniestr się przeprawili, ażeby wojska Bohdana zaniepokoić we własnym jego kraju.

Noc całą trwała walka bez przerwy, ognie porozkładane nad Dniestrem i podpalony las oświecał krwawą łuną plac boju... Mikołaj Kamieniecki pokonał Wołochów własną ich bronią. Otoczywszy ich w zaroślach, kazał podpalić dookoła, a gdy wracające z pod niezdożytego Lwowa wojska Bohdana ponosiły kłeskę w gorejącym lesie, po drugiej stronie Dniestru przybywający mu na pomoc siłą oręża pokonani zostali.

Słońce wschodzące 4-go Października 1509 roku powitało Mikołaja Kamienieckiego zwyciężcą przemieszczających Wołochów i oświecało łodzie, na których Bohdan wraz z garstką swego żołnierstwa przeprawił się przez Dniestr, zostawiając zakładników w ręku hetmana. Dnia 13 zaś Października tenże sam Bohdan wojewoda wołoski ponowił przysięgę wierności Zygmuntovi I-mu, którą hetman Kamieniecki wobec całego rycerstwa w Kamieńcu Podolskim odebrał. Zgodą między Wołoszą a Polską przywróconą została, granice od strony Dniestru uspokojone, Lwów, broniący się dzielnie, nie wpuścił nieprzyjaciela, a i wyłomy powoli naprawił i wygładził.

Kraj zniszczony najazdem Wołochów odbudował spalonych chaty; na polach jak dawniej zieleń i kłosiło się następnych lat zboże, na miejscu zaś, gdzie był las spalony, rozciągnęło się wielkie cmentarzysko. Pogrzebano tam ciała tych którzy legli podczas napadu Wołochów. Spoczęli tam nietylko ci, co się bronili, lecz ci, co napadali, ziemia wszystkiel skryła w swém łonie, dając bezpieczne od wszelkich wall schronienie.

Między grobami świeciła długo żółtym piaskiem nie wielka mogiła: Nazywali ją mogiłą *Szalonego Jędraka*. Śmierć jego była, jako śmierć bohaterów. Podczas obleżenia Lwowa, gdy się przedzierał do miasta, przez Wołochów pochwycony został. Konając, krzyknął: „Kamieniecki brzemieniem Dniestru ciągnie na Wołoszę”. I ducha wyzionął. Ostatnie jego wyrazy zmusiły Bohdana do opuszczenia obleganego miasta, wieść rzucona przez umierającego zaniepokoiła żołnierzy, każdy chciał dążyć do zagrody. Lwów ocalał Kamieniecki odniósł zwycięstwo, a Jędrak szalony, spełniwszy swą powinność, spoczął pod mogiłą.

FAŁSZYWY.

— A ty kocie! co robisz! brzydtko, bardzo brzydtko!

Nie chcę cię już, idź sobie, zabawię się z Chwytką.

Chwytką dobra jest psina, wcale nie fałszywa,

Nie drapie i nie gryzie, jak to z tobą bywa.

Całą rękę mam we krwi, brzydkie twe pazury!

Idź sobie, brzydki kocie; będziesz łapał szczury,

Kiedy się wcale nie znasz na żartach, pieszczocie!

Czyś ty widział, coś zrobił, ty szkaradny kocie?

I to mówiąc, dziewczeczka podniosła dłoń białą,

Na której aż dwie kresy świeżą krwią błyszczało...

Dziewczę miało łzy w oczach i gniewu odbłyski,

A kot patrzył mrukiwie na jabłka ogryzki,

Uwiązane na sznurku, które mu kazano

Chwytać, a potem zaraz, zaraz odbierano...

Teraz łapą odrzucił ogryzki i sznury,

Obchodził swoje panią i patrzył do góry;

Ocierał się o suknię, blisko, tuż bliźniutko,

A nawet za trzewiczek łapał ją niziutko.

Wreszcie o brzeg jęj sukni oparł swoje łapkę...

— Idźże precz, nie chcę ciebie, ty widzę masz chrapkę

Drugą rękę podrapać! — I nóżką tupnęła,

Lecz zaraz w zamyśleniu dziewczeczka stanęła;

Oczy jęj napotkały sznurek na podłodze

I rzekła: — To ja tutaj zawiniłam srodze,

Bo zdradzałam wciąż kota; więc to moja wina;



Falszywy (str. 340).

On bronił się od zdrady, więc drapał kocina.
Oj, podobno w tym razie kot mniej jest fałszywy,
Choć o fałsz posądzony, kocina poczciwy.
I to mówiąc, dziewczeczka pogłaskała kota,
A gdy jęj kiedykolwiek przyszła znów ochota
Być nieszczerą, fałszywą, albo użyć zdrady,
To spojrzała na rączkę i pazurków ślady...
I pozbyła się fałszu; myślała nad sobą,
A odtąd zawsze szczerłość była jęj ozdobą.

Z. Morawska.

NA CO SIĘ SIOSTRY ZGODZIŁY.

ORRAZEK SCENICZNY.

przez **Natalią Sokołowską.**

OSOBY.

PANI BRACKA.
WANDZIA lat 14
KOCIA lat 13
PRAKSIA lat 11
OLENIA lat 8
JADZIA lat 7
MAGDUSIA, dziewczynka wiejska, usługująca panienkom.

jęj córki.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu pani Brackiej w Warszawie,

Scena I-sza.

(Obszerny pokój, w którym się dzieci uczą. Z prawej strony przy małym stoliczku Wandzia haftuje. Przy jęj nogach siedzi na stołeczku Jadzia z Kuryerem w ręku; po drugiej stronie stołeczka stoi Kocia, trzymając ogromną linią. Na środku pokoju, w głębi widać podłużny stół, założony książkami, zeszytami, rysunkami, nutami i t. d. Obrócona plecami do Wandzy, siedzi tam Olenia z łokciami na stole, z głową podpartą na obu rękach, z zatkniętymi uszami i z książką przed sobą; wpatrzona w sufit zdaje się nie widzieć, co się wokoło nięj dzieje. Z lewej strony, na przodzie sceny stoi pulpit. Tu Praksia przerysowuje głowę ze stojącego przed nią modelu. Drzwi wchodowe w głębi).

WANDZIA, JADZIA, KOCIA, OLENIA, PRAKSIA.

JADZIA (zwracając się do Wandzi).

Czy dobrze już czytam, siostrzyczko?

KOCIA (żywo).

Przepysznie, złote jagnię!... (wymachując linią). Zmieniłaś tylko nabożeństwo żałobne w nadobne, śpiewy w plewy i posługę chrześcijańską w cygańską! Co się tyczy reszty, jesteś bez zarzutu.

JADZIA (widocznie smartwiona).

Tak drobny druk w tych ogłoszeniach!...

WANDZIA.

Nie martw się, jagódko!... Czytasz coraz lepiej, czém bardzo ucieszysz mamę.

JADZIA (wspina się po stołeczku i objąwszy szyję Wandzi, całuje ją serdecznie).

Dziękuję ci, najdroższa!... (poczém zeszkakuje ze stołeczka i przebiega scenę, wykrzykując radośnie). Pójdę więc, pójdę na bal, na bal do Mani!

PRAKSIA (rysując).

Takie smaukacze nie chodzą po balach!...

KOCIA (przechodząc ku lewej stronie, przedrzeźnia Praksję, stając za nią).

Baudzo suuowy wyuok wymiauczwała najszanowniejsza Pua-ksia!

PRAKSIA (rysując).

Talent to koci miauczenie, a ja nie Kocia!

KOCIA (popychając rękę, w której Praksia trzyma ołówek).

Za koci talent masz kocie pazury!

PRAKSIA (z rozpaczą).

Coś ty zuobiła! mój nos, mój nos!...

KOCIA (bierze rysunek i przyglądając mu się, mówi).

Genialnym rysem zmieniałam go w bernardyńską dzwonicę.

(kładzie rysunek przed Praksją).

PRAKSIA (coraz płacząc).

O Boże, Boże! co na to powie padna Kounelia.

KOCIA (sentencyjnie).

Przekona się, że nie wszystko co wielkie jest piękném!

PRAKSIA (płacząc coraz głośniej).

Poskauży przed maa... maa... ma, poskau... kau... kau... ży...

(beczy na dobre i Wandzia przechodzi scenę i staje za nią).

KOCIA.

Ot i z Płaksi Mazepa!

WANDZIA.

Nie płacz, Praksiu!... Wytrę to gumą i nos ci poprawię. (Praksia powstaje, Wandzia siada na jej miejscu i zabiera się do roboty, na co patrząca Praksia zaczyna się uśmiechać i zapomina o płaczu).

KOCIA (deklamując).

Pełna poświęcenia Wanda rzuciła się w nurty... łez płaksynych, z których niedługo będzie morze, a z czasem ocean!

WANDA (rysując, do Koci).

Że też ty nikogo nie zostawisz w spokoju!

PRAKSIA.

Dla tego ja Wicek nazywa kostką, że wszystkim staje kostką w gaudle.

JADZIA (śmiejąc się).

Kostką, kostką, kosteczką!

KOCIA (przebiega scenę, chwytając Jadzię za obie ręce i zaczyna z nią tańczyć po pokoju).

Poczekaj, babo Jago, poczekaj!... na śmierć cię zatańczę.

JADZIA (tańcząc powtarza).

Kostka, kosteczka, kostka, kosteczka!...

WANDZIA (rysując).

Daj też dziecku pokój!... poszłabyś lepiej przegrać to trudne ćwiczenie.

KOCIA (puszcza Jadzię, która znów siada na stołeczku).

Ach, prawda!... Masz słuszność, jak zawsze, co mnie się pewno do końca życia nie zdarzy. Ale gdzie moje nuty? (Wanda powstaje, Praksia zasiada przy pulpicie i patrzy ukradkiem na kręcącą się Kocię, Wanda przechodzi na dawne miejsce i zabiera się do haftu). Gdzież moje nuty?

PRAKSIA.

Pod ławą, na ławie, za piecem, na piecu, pod stołem, na stole!...

(W tej chwili Kocia staje przy stole i spostrzegłszy zamyslenie Oleni, zaczyna grać po jęj plecach).

KOCIA.

Zaczynam od dziesięciopalcowego ćwiczenia.

OLENIA (zrywa się jak oparzona).

Co, co, co? czego ty chcesz, czego ty chcesz odemnie? (stają naprzeciwko siebie).

KOCIA.

O czém ty tak mogłaś myśleć?

OLENIA (nawnie).

O Toruniu.

KOCIA (ironicznie).

Oczyźnie Kopernika?

OLENIA (j. w.).

I... pierników!.. (z głębokim westchnieniem). Nie przysłał nam ich tego roku na gwiazdkę dziadunio!

(ciężkie westchnienie).

WANDZIA.

Czy tylko, broń Boże! nie chory?... Od dwóch miesięcy nie pisał do mamy.

KOCIA.

To ten proces w Petersburgu!...

PRAKSIA.

Mateczka baudzo się mautwi.

WANDZIA.

My więc bądźmy dla niej pociechą i weźmy się do roboty; południe za pasem, a po śniadaniu przechadzka... Niema więc czasu do stracenia.

Praksia zaczyna rysować, Olenia zasiada do książki, Jadzia uczy się pocichu bajki, Kocia, znalazłszy, nuty bierze je pod pachę.

KOCIA.

Idę więc grać!

Zmierzka ku drzwiom, ale w tej chwili Olenia zatknęwszy sobie ołówki, zaczyna się kiwać i czytając z książki, pawtarza bezmyślnie lekcję; słysząc to Kocia, zatrzymuje się w pochodzie.

OLENIA (głośno).

Koń, koń, koń... ma cztery kopyta, cztery kopyta, cztery kopyta...

KOCIA (klepiąc ją po głowie).

O—leniu! przewidujący leniu!... ty sobie nie wysuszysz ołówka nadmiernym myśleniem!... Żaden jednak filozof nie aprzeciwy wygłoszonej przez ciebie prawdzie!...

(wybiega śmiejąc się głośno, czemu siostry wtórują).

Scena II-ga.

TEŻ SAME OSOBY PRÓCZ KOCI.

OLENIA (nie mogąc zmiarkować z czego się śmieją).

Z czego wy się tak śmiejecie?

PRAKSIA.

Z twojej nauki.

OLENIA.

Ta zoologia taka trudna!

WANDZIA.

Czyż ty potrzebujesz się tego uczyć, że koń ma cztery kopyta?

OLENIA (jakgdyby odkryła Amerykę).

Prawda!... wiem to przecież bez książki.

WANDZIA.

Przečytaj uważnie zadane ci opowiadanie, a zobaczysz, że to wcale nie trudne.

OLENIA (zasiadając do książki).

Spróbuję!

JADZIA (do Wandzi).

Czy będzie na imieninach Mani Chińczyk z lodów?

PRAKSIA.

Był przeszłego uoku. Wicek dał Koci głowę, ale wyjął ust język, mówiąc, że jej stauczy własnego.

WANDZIA.

Źle, że to powtarzasz!

JADZIA.

Olenia tak sobie naładowała kieszenie cukierkami, że aż całą powalała sukienkę!

PRAKSIA.

Bo usiadłszy na nich, zgmiotła je na miazgę!

WANDZIA.

Czy nic nie powiesz o sobie, gdy tak dobrze pamiętasz cudze kłeski?

PRAKSIA (pokornie).

Stłukłam wazon z chińskiej poucelany... taki piękny!... Myślałam, że się we łzy uozplynie!

JADZIA.

A czy był na tym wazonie Chińczyk?

(W tej chwili Kocia wbiega gwałtownie i staje na środku sceny, machając rękoma i nie mogąc mówić z nadmiaru wzruszenia. Siostry powstają i otaczają dziewczynkę, spoglądając na nią ciekawie).

(d. n.)

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...n.

(Dalszy ciąg).

— Osły patrzą? albo to prawda! zaraz ja cię przekonam, poczwaro, kto patrzy! — rzekł jakiś pyszniejszy od innych żołnierz i wielkim mieczem płałną z góry karła i osła razem.

Kramarz wrzasnął, jakby we własne serce cios otrzymał, osieł młody i silny skoczył w tył, a karzeł, zręcznym zwrotem uniknąwszy ciosu, uklął go swym nożem w bok; wtedy zwierzę, rozwścieczone bólem i gnane wrzawą tłumu, uderzanego jego pakami, rzuciło się jak szalone naprzód. Stała się straszna wrzawa, wśród której przecieź wybijał się wrzask karła, wołającego w niebogłosey ratunku, gdy tymczasem on sam, leżąc teraz na grzbiecie oszalałego osła, jedną ręką kłuł go ciągle a drugą kierował. Tak traktując tłumi, wypadli nareszcie z pośród nich w pole, a rozwścieczony osieł pędził i pędził...

Huczny śmiech dalszych widzów tej sceny już dawno ucichł w odległości, gdy wycieńczony osieł upadł, jak długi...

— A teraz do Bambergu, czy do Kitzingen? — zapytał sam siebie Phil, powstawszy i błazeńską czapkę naciskając na uszy.

Wartburga już dawno widać nawet nie było. Sam Chrypka, obchodzący troskliwie swe straże i placówki, patrzył na ucieczkę osła, unoszącego Phila i śmiał się serdecznie z przygody karła, ale ani na myśl mu nie przyszło, że mysz, której zabronił prześliznąć się przez kordon żołnierstwa na około Wartburga, Eisenach i okolic — prześliznęła się właśnie.

XIII.

Bosy poseł.

— Do Kitzingen? czy do Bambergi? — dumał Phil, drapiąc się po nosie — gdybym wiedział, które z dwojga, wuj czy ciotka, więcej dba o landgrafową Elżbietę, tobym wiedział, gdzie najprzód iść, do Bambergi? czy do Kitzingen?... a tak nie wiem...

— Nie wiesz, wason? czego nie wiesz? którądy do Kitzingen, albo do Babiego-grodu? jeżeli chcesz, pójdź ze mną, to cię zaprowadzę do Babiego-grodu — rzecze głos jakiś, niby zrozumiały, a przecieź dziwnie obcy tuż za Philem.

Phil się obejrzał, trochę wystraszony, ale uspokoił się natychmiast, bo człowiek, nadchodzący ścieżką przez wzgórza, nie był nic a nic podobny do najemnych żołnierzy, których Phil mógł się w tej chwili obawiać, gdyby Chrypce przyszła ochota kazać go gonić. Człowiek nadchodzący wyglądał dziwnie dla Phila, bo miał dostatnią sukmanę białą, przewiazaną szerokim pasem czerwonym i czapkę baranią, ozdobioną z lewego boku szafirową wstążką, na ramieniu niósł kij, a na jego końcu za plecami kiwała się uwiązana para bardzo pięknego i mocnego owuwa, którego wcale brakło na nogach.

— Babiego-grodu? jakiego Babiego-grodu? o czym ty mówisz? — spytał Phil, powtarzając wyrazy, których jako Turyngeczyk nie rozumiał.

— Najprzód nie mów mi „ty” tylko „wy”, kiedy ja tobie mówię „wason” — rzekł nieznamy, poprawiając czapkę z fantazyą — a Babi-gród, to jest nasz ten Babi-gród, który wy nazywacie Bamberg, a dawniej nazywaliście Babelberg.

— Jako „wasz” alboż kto wy jesteście?

— Ja jestem polski chłop. Ten Babi-gród, to moi przedkowie Słowianie tam na obu brzegach Regnicy blisko ujścia jej do Menu założyli.

— Albo to prawda! to niemieckie miasto!

— Jako nieprawda, kiedy dotąd przy wielkim kościele stoi tam naszego Czernoboha posąg z tych czasów, kiedyśmy

CZARNI LUDZIE.

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— To musi być zabawnie patrzeć, jak kolyszą głową, lub też na plecach noszą dzieci — ozwała się Józia.

— Tak, patrzeć, to bardzo zabawnie, ale żeby ci tak kto kazał nosić jaki ciężar i przytém jeszcze pracować, toby wcale nie było zabawnie — rzekł Adaś, kończąc pisanie i siadając przy siostrze. — Ale powiedz mi, moja Julciu — zapytał — gdzie ci murzyni mieszkają?



Australczycy.

— Murzyni mieszkają w Afryce i Australii, tam jednak troszkę inaczej wyglądają; kraj ich jest bardzo gorący, słońce tam mocno dogrzewa, daleko silniej, aniżeli u nas podczas wielkich upałów, gdy więc jest trochę chłodniej, śpieszą się z wszelką robotą, a potem całymi dniami odpoczywają.

— Czy to daleko od nas do tej Afryki i Australii? — pytała Józia.

— Rozumie się, że bardzo daleko — rzekł Adaś — przecież to w innej części świata.

— Jakto w innej części świata, to nie na ziemi? — dziwiła się Józia.

— Ale owszem, na ziemi — tłumaczyła jej siostra — tylko widzisz, świat cały jest podzielony na ziemię i wodę, a ta ziemia znów jest podzielona na pięć części; ta, w której my mieszkamy, zwie się Europa, na wschód Europy jest Azja, na zachód Ameryka, na południe Europy Afryka, gdzie mieszkają murzyni, a na wschód, daleko, bardzo daleko od Afryki, bliżej Azji i Ameryki, jest Australia, gdzie także mieszkają murzyni.

— Czy to tam jedzie się koleją żelazną? — zapytał Adaś.

— Och, mój kochany, podróż do Australii jest bardzo

długa, najpierw trzeba dojechać do morza, a potem bardzo długo jeszcze trzeba płynąć okrętem.

— Jakto, to wcale nie można dojechać, ani koleją żelazną, ani kołmi, tylko koniecznie trzeba płynąć po morzu do tych murzynów? to i ten, co siedział na koźle, także przypłynął morzem? — pytała Józia.

— Zapewne, że przypłynął, bo widzisz, moja Józiu, ta Australia dokoła jest oblana wodą i dla tego, że jest oblana wodą, nazywa się wyspą. Inaczej więc dostać się tam nie można, tylko wodą. Brzegi tej wyspy są góryste, a w samym jej środku rozciągają się pustynie, gdzie prawie nic nie rośnie, ale za to w piasku jest dużo złota.

— Złota? — zawołała Józia — to ci murzyni muszą być bardzo bogaci!

— To czemuż oni tak dużo pracują, kiedy mają tak dużo złota? — zapytał Adaś.

— Alboż widziałeś, żeby kto jadł złoto? — rzekła mu Julcia.

— No, tak, to prawda, nie widziałem, bo przecież złota nikt nie jada.

— A więc widzisz, mają dużo złota, lecz że złota nikt nie jada, a mało mają ziemi, dającej rośliny zdatne do jedzenia, muszą więc bardzo pracować. Jedni potrzebują tyle nazbierać złota, aby mieli za co kupić zboża i owoców do jedzenia, drudzy muszą dobrze uprawić ziemię, aby ona wydawała jak najwięcej zboża. Prócz tego ta ich wyspa Australia ma bardzo mało rzek i w ogóle wody, często bardzo wieje tam wiatr gorący i duszący, a wszystko to utrudnia życie biednym murzynom.

— To czemuż oni nie przeniosą się gdzieindziej? Mogliby zabrać dużo tego piasku złotego, przywieźć tutaj do nas, oni-by nam dali swego złota, a mybysmy im dali ziemi, gdzieby rosło zboże i kartofle — mówił zamysławiając się Adaś.

— A czy ty masz taką ziemię? — zapytała go Józia.

— No tak, ja nie mam, bo ja jestem jeszcze mały, ale są tacy, co mają ziemię, toby im dali — odpowiedział chłopiec.

— Otóż na ten raz źle mówisz, mój braciszku kochany — odrzekła mu Julcia. — Ten, co ma ziemię, nie sprzedałby jej, bo gdzieby się sam podział, murzyn zaś nie opuściłby swego kraju, bo chociaż tam bardzo pracuje, lecz przyzwyczaił się do swojej ziemi, kocha ją, ma tam rodzinę i woli swój spiękły, suchy piasek, aniżeli najpyszniejsze łąki, lub najpiękniej obsiane pola. Jeżeli jakiś murzyn wyjedzie, to chyba taki, który jest zupełnym sierotą i jeszcze dzieckiem zabiorą go i powiozą daleko. Lecz gdybyś się zapytał tego oto choćby, coście go widzieli siedzącego na koźle, to z pewnością odpowiedziałby, że nigdzie mu nie jest tak dobrze, jak mu było w jego kraju. Nie myślcie jednak, żeby tam w Australii nic nie rosło i łąk wcale nie było i lasów; owszem i tam są łąki, ale ich jest mniej daleko niż u nas, są i lasy, ale zupełnie inne w nich rosną drzewa, nie dujące prawie wcale cienia, a w tych lasach żyje dużo jadowitych wężów. Murzyni mieszkający w Australii żyją prawie zupełnie dziko i bardzo trudno ich oświecić i nauczyć jakiegośkolwiek rzemiosła lub lepszej uprawy roli. Przechodzą sobie z miejsca na miejsce, przenosząc swoje dzieci, za nimi idą psy i tak prowadzą swój marny żywot, nie troszcząc się o wiele. Wtedy gdy u nas jest zima, to u nich najpiękniejsza pogoda i największe upały, a kiedy u nas lato, to u nich wtedy jest zimniej trochę. Lecz to ich zimno to jest takie, jak u nas podczas pogodnej jesieni. Od słońca lub od chłodu i deszczu chronią się w chatkach. W takiej chacie niktby u nas mieszkać nie chciał, lecz im tak tam dobrze, jak w najpiękniejszych pałacach. A to są tylko zatknięte kołki, zasłonięte ze wszystkich stron matami, z wierzchu zaś pokryte trzcina.

— Czy w Australii niema takich miast, jak u nas? — zapytał Adaś.

(d. c. n.)

DOBRZY FIGLARZE.

— Babcia z dziadkiem pojechali — rzecze mały Niunio, W babcię, w dziadzia się pobawmy, ja będę dziadunio!

— A ja będę babcią starą — powiedziała Lunia, Wezmę czepiec, okulary, będę wnet babunia. — Wziął gazetę Niunio mały, wdział pantofle dziadzi Chustkę dziadka od tabaki do kieszeni wsadzi;

Bierze w rękę tabakierę, na nos okulary, I na dziadzi siada krzesła tak, jak dziadzio stary.

A na babci tuż krzeselku siadła w czepcu Lunia

W okularach, i pończochę robi, jak babunia, Aż zwiedziona kotka Lizka cicho przysłała ku niej, I usiadła jęj u nówek tak, jak przy babuni;

A i Ardon, piesek mądry, wziął Niunia za dziadzie, Bo tak mu się u podnóżka, jak przy dziadzi kładzie, Wchodzi nianka i po kątach szuka coś w komnacie.

— Antoniowa — rzekła Lunia — czego tak szukacie?

— A to mi się — powie nianka — dzieci zapodziały, Oj, dam ja im, tylko złapię one sowizdrzały!

Byle tylko nie zalazły między wilki w lesie,

Oj, zgrzyoty mam z malcami, że aż płakać chce się!

— Nie płacz, nianiu! — krzyknie dziatwa i do nianki leci:

My nie dziadzio, nie babunia, my jesteśmy dzieci! —

Nianka dzieci uściskała, pochwaliała bardzo,

Ze jęj łzami nawet w figlach dziatki nie pogardzą.

Azet.

WSZYSTKORUSZ.

(Dokończenie).

Władziowi nic przy obiedzie nie smakowało, chociaż wyborne różne podawali potrawy, kurczęta z kompotem, leguminę z kremem, potem przynieśli przepyszne owoce. Już teraz nie cieszył się wcale, że na wieś przyjechał, bo jaka to już może być przyjemność z nieznośną piastunką, co krok w krok ma za nim chodzić?

Gdy wstano od obiadu, ciocia otworzyła drzwi do ogrodu. Cóżby to była za rozkosz pobiegać po takim ślicznym ogrodzie, podczas gdy starsi przechadzali się lub siedzieli w altance. Ale gdzie tylko biedny chłopiec się poruszył, wszędzie Kasia podążała za nim, a co chwila powtarzała:

— Ostrożnie, paniczku, żeby nie upaść i broń Boże sobie co złego nie zrobić.

Zawstydzony i zmartwiony, Władzio wrócił do pokoju, chciał się trochę rozejrzeć po domu. U cioci wszędzie było ślicznie, na stołach, na konsolkach, stało mnóstwo osobliwości, posążki, wyobrażające znakomitych ludzi, i bronzowe, i gipsowe, naczynka jakieś ze szkła i porcelany, piękne muszle. Bardzoby to było przyjemnie oglądać to wszystko, żeby nie ta nieznośna Kasia, powtarzająca co chwila:

— Niech ino paniczek nic nie rusza, aby nie rozbić i nie popsuć.

Tak się to Władziowi uprzykrzyło, że nie patrzył już na nic, usiadł w kącie na krzesle i milczał nadąsany, ze spuszczo-nemi w ziemie oczyma. A wtém weszła piastunka z Andzią, dziewczynka wyciągnęła paluszek do braciszka, wołając:

— Sitkolus! Sitkolus!

To już tak rozzłościło Władzia, że zerwał się i pięść pokazał małej siostrzyczce, zaraz jednak zawstydził się tego, bo cóż ona biedaczka była winna, powtarzała słyszany często wyraz, nie rozumiejąc go wcale. Nasz Wszystkorusz nie wiedział sam, co z sobą zrobić, gdy usłyszał turkot i po chwili do pokoju weszła ciocia z mamą, i z obcą jakąś panią, która przyjechała w odwiedziny z sąsiedztwa i przywozła z sobą dwóch synków. Jeden był w wieku Władzia, a drugi młodszy.

Ciocia własnych dzieci nie miała, więc umyślnie tę panią z dziećmi wprosiła, ażeby Władzio miał towarzystwo. Chłopczyki zapoznali się z sobą bardzo prędko, Władek taki był rad tym gościom, że zapomniał o swoim zmartwieniu;

ciocia pozwoliła dzieciom pójść bawić się do ogrodu, a obca pani powiedziała do swoich synków:

— Tylko nie odbiegajcie daleko, żebym was z okna widzieć mogła.

— Dobrze, mamuniu — odpowiedzieli chłopczyki i wyszli razem z Władziem do ogrodu. A za Władziem wysunęła się zaraz i Kasia z pokoju, gdzie tylko chłopczyk się poruszył, ona tuż przy nim stawała i co chwila powtarzała swoje:

— Ostrożnie, paniczku, ostrożnie.

— Czego ta dziewczyna tu chce? — zapytał wreszcie Zygmus, starszy z dwóch braci.

— Pilnuję tego paniczka, tak pani kazała — odpowiedziała Kasia z powagą.

— Co, ona ciebie pilnuje? czyż ty małe dziecko jesteś? — rzekł śmiejąc się młodszy braciszek, Adaś.

Władziowi już cierpliwości zabrakło, cały zaperzony, obrócił się do dziewczyny i zawołał z gniewem:

— Idź sobie, ty nieznośna, ja nie potrzebuję, żebyś mnie pilnowała.

— Pani tak kazała — odrzekła Kasia, nie ruszając się z miejsca — zgodziłam się przecież za piastunkę do panicza.

— Piastunkę! — zawołał obaj chłopczyki ze zdziwieniem — to ty masz jeszcze piastunkę? Cha cha cha!

Nie mógł biedny Władzio wtrzymać takiego wstydu, uciekł pędem do pokoju, zaraz przy progu spotkał mamę, rzucił się w jęj objęcia i szlochając cichuteńko, żeby go nikt nie posłyszał, mówił przerywanym głosem:

— Mamo, jedźmy do domu, ciocia taka niedobra, ja tu nie wytrzymam z tą nieznośną Kasią, jedźmy do domu!

— Nie możemy tak prędko powracać do domu, moje dziecko — odrzekła matka — ciocia nie jest wcale niedobra, ale przeciwnie, uprzejmie nas bardzo przyjęła, przykroby jęj było, gdybyśny niewiedzieć dla czego odjeżdżali. A potem wiejskie powietrze potrzebne jest dla Andzi i dla ciebie, oboje tu zdrowsi będziecie.

— Ja nie chcę wiejskiego powietrza, ja chcę wracać do domu... — powtarzał ciągle Władzio nieutulony.

— Domyślam się, dla czego tak jesteś niezadowolony — mówiła mama — wstyd ci, że ciocia tęj piastunce kazała cię pilnować; i mnie także wstyd za ciebie, ale sam powiedz, mój Władziu, czy nie zasłużyłeś na to? Ciocia widziała twoje sprawki w Warszawie, cóż dziwnego, że się obawiała, abys jęj dużo szkody w domu nie narobił. Sam powiedz, czy ciocia nie miała słuszności?

Władzio ciągle szlochał cichutko, a wtém ciocia nadeszła i odrazu domyśliła się wszystkiego.

— Moja Jadwisiu — rzekła do mamy — trzeba już na dziś uwolnić Władzia od piastunki. Ci dwaj chłopczyki są bardzo rozsądni, ja sędzę, że i on będzie z nich brał przykład.

Potém ciocia stanęła we drzwiach ogrodu i zawołała:

— Kasiu, idź do garderoby, zawołam cię, jak będziesz potrzebna; tymczasem możesz pończochy cerować.

Władziowi lęz się zrobiło na sercu, gdy to posłyszał, otarł łzy, a ciocia odprowadziła go sama do ogrodu, do Zygmunusia i Adasia, mama została w pokoju z obcą panią. Zygmus i Adaś byli bardzo dobrze wychowani, nie dokuczali Władziowi, nie wspominali wcale o piastunce, chociaż domyślali się po trochę, co to znaczyło. Chłopczyki bawili się wyborne, goście dopiero późnym wieczorem odjechali.

— Cóż, Władziu, czy bardzo się na mnie gniewasz? — zapytała ciocia, gdy sami zostali na ganku.

— Ja... ciociu... — i Władzio zająknął się, sam nie wiedział, co powiedzieć.

— Mój drogi chłopczyku — rzekła ciocia, ściskając go czule — miałeś chwilę wielkiej przykrości, wierz mi, że i mnie także bardzo było przykro, ale obie z mamą postanowiłyśmy spróbować tego sposobu, aby cię od brzydkiego nałogu odzwycząić. Chorzy muszą brać nieraz gorzkie lekarstwa, wady są szkodliwsze od chorób, i także często przykrych leków potrzebują. Nie wiem, czy już jesteś uleczone...

— O, ciociu, nigdy już, nigdy... — wołał Władzio, składając ręce.

— Nie przyrzekaj — przerwała mama — obietnice na nic się nie przydadzą. Staraj się postępowaniem swoim nas przekonać, żeś się poprawił. Jutro Kasia nie przyjdzie już czuwać nad tobą, zobaczymy, czy potrafiśz sprawować się rozsądnie bez piastunki.

— O, mamuniu! — i Władzio nic nie mówił więcej, nie przyrzekał, ale postanowił sobie szczerze i gorąco, że nie narazi się więcej na taki wstyd okropny. Czy dotrzymał postanowienia? Wiemy, że Kasia pozostała w garderobie przez cały czas pobytu naszych znajomych na wsi; widać, że Władzio nie potrzebował piastunki. Czy wytrwał w swoim postanowieniu po powrocie do Warszawy, o tém nie mamy pewnych wiadomości, słyszeliśmy tylko, że mała Andzia już teraz nigdy go nie nazywa „Sitkolus”, zapewne więc dziecina nie słyszy w domu tego brzydkiego przezwiska. To najlepszy znak, że Władzio już nie jest Wszystkoruszem.

CO ZYŚ I JANUSIA

robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia.

Opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dalszy ciąg).

Bo trzeba wiedzieć, że Zyś i Janusia dużo o tém wszystkiém wiedzieli, nasłuchawszy się od Dziadusia, lubiącego o rzeczach historycznych rozprawać. I nawet imiona tych dwojga dzieci były umyślnie dla przyjemności Dziadusia dane im takie same, jakie miały dzieci królowny Katarzyny Jagielonki, królowej Szwedzkiej i siostry króla polskiego Zygmunta Augusta. A później synek tej Katarzyny, zwany Zyś, był królem polskim pod imieniem Zygmunta III-go i z tej właśnie galerii w kościele Ś-go Jana bardzo często słuchał nabożeństwa wraz ze swoimi synkami, Władysławem i Kazimierzem, którzy także królami później zostali. O nich to najwięcej nasłuchwały się dzieci z powodu imion, które nosiły i teraz koniecznie im się zdawało, że widzą jeszcze tę królewską rodzinę na galerii złocistej w kościele. Ale to było tylko złudzenie wyobraźni: na ganku nie stał nikt i niezadługo z kościoła trzeba było wychodzić, pomodliwszy się wraz ze wszystkimi. Babcia powiedziała tylko z daleka, wskazując rzeźby, że są w tym kościele starożytne pamiątki i groby, między innymi groby ostatnich książąt mazowieckich, Janusza i Stanisława.

Wróciwszy do domu na śniadanie, zdziwiły się dzieci, usłyszawszy znów kościelne śpiewy i organy, chociaż dopiero co właśnie wyszły po nabożeństwie. Wtedy Babcia zaprowadziła ich do jadalnego pokoju, na przeciwną stronę domu i ukazała im znowu inny kościół, stojący jakby w podwórku babcinego domu, ale nie frontem, lecz odwrócony od okien; podwórka tam nawet jakby nie było, tylko ten kościół po nad inne domy wystawał, a z okien jego dochodziły śpiewy i muzyka.

— Jakto! więc Babcia mieszka pomiędzy dwoma kościołami? i w podwórzu tu jest kościół? i w mieszkaniu słycać śpiewy? A to dziwnie! — wołały dzieci, ale dowiedziały się, że kościół wcale nie w podwórzu stoi, tylko przy innej ulicy, a ponieważ i te ulice i domy same są w tej stronie miasta tak bardzo ścieśnione, jak już im mówiono i ponieważ kościołów jest tam bardzo dużo, przeto niektóre domy stoją istotnie, jakby pomiędzy dwoma kościołami i w mieszkaniach na raz z dwóch stron słyszeć się dają kościelne śpiewy i muzyka.

— Dawniejsi mieszkańcy Warszawy — powiedziała Babcia — nawet bogaci, dla siebie szczupłe i ścieśnione stawiali domostwa, takie, jak mój dom, tylko na kościoły nie żalowali pieniędzy i budowali ich dużo i wspaniale. Ztąd w całej nowszej Warszawie niema ani o połowę tyle kościołów, ile ich jest tutaj, w tym najdawniejszym miasta zakątku, chociaż już nawet niektóre kościelne gmachy nie są dziś kościołami.

Teraz Babcia zajęła się swoim domowym gospodarstwem, a Ciocia Ludka po śniadaniu poszła znów z dziećmi na miasto. Znała Ciocia Warszawę doskonale, bo się tu wychowała, nie miała jednak wielkiej ochoty z domu wychodzić, wołałaby była pozostać przy Babci, to jest przy swojej własnej Mamie, do której się stęskniła, ale dzieci tak prosiły o przechadzkę, że się na ich proźby zgodziła. Ubrali się tedy ciepło wszyscy troje, Babcia im z kościoła jeszcze wracając kupiła futrzane rękawiczki, ale mufki nie wzięła Ciocia i Janusi brać jej nie kazała, a Babcia rzekła:

— Tu nie wiesz, moje dzieci, nie można tu malcom chodzić samym, bez trzymania się starszych za rękę, zwłaszcza też w czasie zwiększonego świątecznego ruchu, boby was porozjeżdżali i podeptali tłoczący się ludzie, konie i powozy; niepotrzebne mufki, gdyż Ciocia musi każde z was nieustannie za rękę trzymać, a za to rękawiczki muszą być futrzane, aby ręce nie zmarzły.

Dzieciom się to niezmiernie dziwném zdawało, bo na wsi nikt ich nigdy za rękę nie prowadził. Ale tak być musiało w Warszawie. Zaledwie wyszedłszy przed dom, Ciocia wzięła każde z nich za rękę i poszli tak trójką, a gdy na jedną chwilę czasem rękę którą puściła, to ją znów chwyciła co prędzej. Istotnie ludzi było na ulicy tak dużo, a wszyscy szli tak prędko wśród jadących powozów, wozów, dzwoniących omnibusów, tramwajów i krzyku woźniców, że aż się w oczach to wszystko mieniło i mieszało, a w uszach szumiało, jak w młynie. Zyś przyznał też szczerze, że zabłądziłby i zginął w Warszawie natychmiast, gdyby sam jeden szedł przez ulicę i już Zyś z własnej woli pilnował się ręki ciocinej, dziwiąc się tylko, że mniejsi od nich obojga chłopcy i dziewczynki szli przecież obok starszych, nie trzymając ich ciągle za rękę. Ciocia wytłómaczyła, że przyzwyczajenie wiele znaczy, że przeto dzieci, wychowane w miejskim ruchu, łatwiej dają sobie w nim radę od wiejskich, ale mimo to, zdarza się przecież bardzo często, że dzieci giną, błąkają się, bywają szukane i odnajdywane, a czasem i nie odnajdują się wcale...

Na te ostatnie słowa Cioci, Janusia tak się przejęła, że aż krzyknęła i obiema rękami uchwyciła się Cioci, bo jej się zdawało, że już ginie... Odtąd ani na jedną chwilę nie mogła Ciotka puścić dzieci, żeby sobie choć szubę albo kapelusza poprawić, bo ją trzymały ze wszystkich sił za obie ręce. Śmiała się z tego, powiadała, że przesada we wszystkiém i w ostrożności także jest niedobra, ale w końcu przyznała, że już lepiej tak, niż żeby które z malców miało się zabłąkać i sprawić jej, Babci i rodzicom kłopot i ciężkie zmartwienie.

Szli tedy wszystko troje najprzód Świętojańską ulicą mały kawałek, aż wyszli na duży plac, który dopiero od nowszych czasów jest taki obszerny a za starych czasów był mniejszy. Ten plac nazywa się Zamkowy. Na środku placu Zyś z wielką uciechą zobaczył wysoką kolumnę, na której wierzchołku stoi kamienny król Zygmunt III-ci, ten sam właśnie, którego imię Zyś nosi. Naprzeciw ulicy Świętojańskiej Ciocia wskazała dzieciom ogromny pałac, który był zamkiem królewskim, a taki jest wielki, że w głębi swych murów jeszcze kilka razy obszerniejsze gmachy zawiera niż te, które z ulicy widać. Przeciwna jego strona wychodzi na ogrody, które zstępują coraz niżej w tarasach, aż ku Wiśle. Cały plac Zamkowy otoczony jest dużemi kamienicami, pomiędzy którymi od placu rozchodzą się na wszystkie strony różne ulice, dalej jest jakiś ogród, a koło zamku w głębi, w otwartej przestrzeni, widać było zamrażniętą wielką rzekę Wisłę.

Dzieci chciały iść ku Wiśle, ale jak im Ciotka powiedziała, że Wisła nie ucieknie, a tymczasem zobaczą, jaką niedużą była dawniej Warszawa, pobiegły ciekawie w inną stronę. Nie schodząc przeto wcale z chodnika, przeszli bokiem wzdłuż placu Zamkowego i koło apteki narożnej skręcili w boczną ulicę. Tą ulicą szli długo w okrąg, bo ulica idzie jakby w półkole, a Ciotka powiedziała, że ulica ta zowie się Podwale, dla tego, że znajduje się *pod wałem*, którego to wału niema dziś śladu, ale dawniej okrążał on starą Warszawę tak właśnie i tuż obok tego miejsca, jak krąży dzisiaj Podwale, tak więc Podwale wskazuje mniej więcej obręb dawniej Warszawy.

Dzieci wiedziały dobrze, że wał miejski jest to wielki nasyp z ziemi, okrążający miasto warowne, dla obrony od nieprzyjaciela. Idąc, przypatrywały się ciekawie wielkim kamienicom, które już przecież nie są na Podwalu tak bardzo wązkie, jak babcina na Świętojańskiej ulicy, gdyż później stanęły na około zniesionych wałów, kiedy się już ludzie nie skupiali tak bardzo.

(d. c. n.)

SPARALIŻOWANA.

W ogrodzie Saskim siadywała na ławce uboga staruszka, sparaliżowana na jedną nogę. Zawsze w dni pogodne przyprowadzał ją wnuk i siedł na kilka godzin do szkółki, wracając odprowadzał do domu.

Pewnego dnia staruszka siedziała dosyć długo sama, wtém zobaczyła swoją znajomą o kilka ławek dalej siedzącą, chciała dość do niej, próbowała sił swoich za pomocą laski, ale nie mogła kroku postąpić. Oglądała się na wszystkie strony, czy nie znajdzie kogo litościwego, coby ją przeprowadził.

Dwie małe panienki bawiły się niedaleko, do nich się zwróciła z prośbą. Antosia popatrzyła na ubogą staruszkę i rzekła:

— Ja nie chcę prowadzić tój nieznamomiej, jabym się wstydziała, żeby mnie w takim towarzystwie kto obaczył.

— Antosiu — rzekła jej siostra Zosia — czyż to nie jest obowiązkiem naszym uszanować wiek podeszły, pomagać ubogim, usłużyć niemocy i kalectwu? Pamiętaj, że Bóg będzie błogosławić temu, kto podaje rękę nieszczęśliwej kalece. Wszak i ty może doczekasz starości i będziesz potrzebowała pomocy ludzkiej.

— Daj mi pokój z morałami, nauczyłaś się tego od nieznośnej siostry Ciotki, która musi każdemu żebrakowi służyć.

Tymczasem staruszka błagalnie patrzyła na siostry, a może przeczuwała, że znajdzie pomoc. Młodsza siostra Antosi, Zosia, widząc, że siostry nie przekona, sama podbiegła i doprowadziła staruszkę do ławki, gdzie siedziała jej znajoma. W tój chwili przechodził stryj panienek, stary bogaty kawaler, który od kilku lat nie bywał u ich rodziców. Zaszły nieporozumienia między braćmi, które ich rozdzieliły. Zobaczywszy synowicę, spełniającą obowiązek miłosierdzia, zbliżył się do niej, uściskał serdecznie i rzekł:

— Przebaczam twemu ojcu za to, że dobrze wychowuje córkę.

I poszedł zaraz do domu brata i odtąd zawiązały się znówu stosunki serdeczne, a nawet zmienił testament i zapisał majątek Zosi.

Po śmierci stryja, gdy Zosia doszła do pełnoletności, podzieliła się z siostrą pozostałym po stryju majątkiem, bo to zacne serce nie mogło znieść niedoli siostry.

C. Falkowska.

HOMONIMY (M. P.).

Dzisiaj jestem sobie skromne naczynie stołowe;
Niegdyś jednak korona zdobiła mą głowę.

Łamigłówna kryształowa zoologiczna.

1. Współgłówna.
2. Zwierz leśny.
3.
4. Zwierz drapieżny.
5. Współgłówna.

Środkowe litery i rząd środkowy utworzą nazwę stworzenia bardzo pospolitego latem, którego jednak w zimie nigdzie nie można napotkać.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 41-go.

Łamigłówna gwiazdki:

Paryż — Parma — Warna — Turyn.

Skrzynka do listów.

Trawce z nad Granicy donosimy, że nagrody za wypracowania jeszcze w Czerwcu wysłane były dla Jaskółki i dla Trawki, musiały więc na poczcie zaginać. Bardzo nam przykro, że kochane dzieła wczątka nie otrzymały tych nagród, niezwłocznie też, dowiedziawszy się o tём, wysłaliśmy drugie, zapewne już doszły. Fotografia o którą Jaskółeczka prosiła jeszcze latem, odesłana także w liście pod tym samym adresem. Przepraszamy bardzo za to opóźnienie i prosimy, aby Trawka serdecznie od nas pozdrowiła siostrzyczki Kazio niezadługo przypomni się czytelnikom w liście z Warszawy.

Ukraince na Mazowszu najpierw serdecznie dziękujemy za powiadomości, które się bardzo przydadzą do Dodatku. Jakaż to szkoda, że poprzedni liścik z przesyłką zaginął, ale kochana Ukrainka zapewne nam to wynagrodzi, wiedząc dobrze, jak miłą jest dla nas ta korespondencya. Co do wizerunku, podanego w N-rze 39-tym była to rzeczywiście omyłka, która nas bardzo zmartwiła. Zapóźnień na nieszczęście spostrzegliśmy, że zamiast Ś-tjej Cecylii dostał się do drukarni drzeworyt, przedstawiający Ś-go Jana. Jak się to stało, zadługo byłoby opowiadać, dziś nic nie pozostaje, tylko przypomnieć się do winy nieuważli i przeprosić czytelników. Najwinniejszemu jest pisząca te słowa, która po dłuższej nieobecności powróciwszy do Warszawy, tak się zajęła kochanymi swymi liścikami, że o Bożym świecie zapomniała i jednem okiem tylko spojrzęła na niezbyt wyraźne próbne odbitki drzeworytów.

Iskierce przesyła serdeczne pozdrowienie Ukrainka na Mazowszu.

Słowikowi dziękujemy za łamigłównę, wydrukujemy ją niezadługo. Szkoda wielka, że Słowiczek nie opisał nam obszernie swoich wędrówek letnich, ale zapewne nauka szkolna niewiele mu swobodnego czasu pozostawia. Bardzo to grzecznie z jego strony że i tak o nas nie zapomina.

Słowikowi z nad Zbrucza na odezwe jego przesyłamy odpowiedź następującą:

„Kochany Słowiku! Ja mam lat 12, mieszkam w Warszawie, jestem synem doktora, na imię mi Wacjo. Uczę się dosyć dobrze, jestem w 3-ciej klasie w gimnazjum.

Kochający cię Słowik Warszawski”.

OGŁOSZENIE.

Pod tymże samym adresem i po tejże cenie co *Wieczory* prenumerować można *KRONIKĘ RODZINNĄ* pismo dla rodzin, poświęcone literaturze, naukom i sprawom społecznym, które oprócz odpowiednich do tego założenia artykułów, zamieszcza niewydane dotąd pamiętniki i korespondencye znakomitych ludzi, oryginalne podróże, powieści, komedye do przedstawienia w teatrach amatorskich, wiadomości polityczne i sprawy bieżące. Prenumeratory *Kroniki* otrzymać mogą po cenie niższej różnie wartościowe dzieła i oleodruki wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, od roku zaś przyszedłego 1886 otrzymają w dodatku bezpłatnym wydane nakładem redakcyi ciekawe *PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ*, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

jeszcze poganami byli, a napis na nim w polskim jest języku! A lud na okolicy tam i w samym Babim-grodzie, czy nie odmiennie się ubiera i odmiennie żyje własnym a naszym obyczajem, nie zaś tak, jak okoliczne Niemcy?

— A to prawda! może to i tak... — rzekł Phil zdziwiony. — Ależ to wy dobrze tamte strony znacie. I tam idziecie?

— A to się wie! — poprawiając czapki chłop powie. — Ja się zwę Stach Prawy, chatę mam po ojcach kmieciach na szląskiej ziemi, gdzie panią jest polska księżna Jadwiga, księcia Henryka tego, co to go zowią Brodatym, małżonka. Tedy pani ta, ilekroć potrzebuje nakazać co ważnego, czy to do siostry swój, królowej węgierskiej, czy do drugiej siostry przełożonej w Kitzingen nad Menem, czy do brata Egberta, biskupa w Babim-grodzie, zawsze mówi do dworzan swoich:

— Wołajcie mi, dziatwo moja, Stacha Prawego, mego kmiecia, którego pamięć pewniejszą jest od pisma, bo jęj ani uroni, ani wróg mu ją wydrze, chyba z życiem; przez niego nakażę ja do mego rodzeństwa, a pewną będę, że słowo moje dojdzie, gdzie dojsć powinno! Tak to o mnie mówi księżna pani! A że po drodze zanoszę też i słowo tutaj do starych Kranzów, bo sama była niegdyś panienką ulubioną pani mo-jęj, zatem tedy zdarza mi się przechodzić. No, czy teraz nie będziesz się wason więcj bał iść ze mną do Babiego-grodu, gdy wiesz, kto jestem? — z dumą dodał bosi poseł książęcy.

— To ci Kranze, których oto widać zamczysko, są tacy blizcy sercem węgierskiej królowej i jęj rodzeństwu? — żywo spyta karzeł. — O, jeżeli tak, to wracaj ze mną do tych Kranzów, a opowiem wiele rzeczy, które powinni wiedzieć, i królowa węgierska, i jęj rodzeństwo, i wszyscy im przychylni; z tém ja właśnie do Babiego-grodu szedłem, alem bał się iść, aby nim słońko wejdzie, rosa tymczasem oczu nie wyjadła wnukom królów węgierskich; a teraz może ci Kranze pomogą mi tu czuwać nad niemi. Chodź, panie Stachu, zaprowadź mię do Kranzów, jeżeli ci łaska pani twojój, księżnej polskiej, jest miła!

W parę godzin późnij Stach i Phil wychodzili z zamku starych Kranzów. Stach szedł nad Men, a oni mówili mu:

— Pamiętaj, opowiedz wszystko! — A Philowi, który napowrót wracał do Wartburga, powiedzieli:

— Jeżeli księżna Elżbieta landgrafowa nie chce od dziedzictwa syna swego krokiem odejść, to niechaj choć skrycie dzieci pozwoli nam wykraść za twą pomocą, a już byleśmy raz je do rąk dostali, zapewniamy, że my i przyjaciele nasi, wierni landgrafa Ludwika, potrafiny mimo wszelkich grózb przywłaszczyciela Henryka ukryć sieroty tak dobrze, że ich i dziesięciu Chrypków nie znajdzie. Idź, a czyn jakęśmy się umówili, a śpiesz się, zanim głodem a zimnem pomarnieją sieroty.

U bramy Kranzowego zamku, gdy rozstawać się przyszło dwom posłom, Phil, wzięwszy się w boki, rzekł jeszcze:

— Powiedźcie mi jednę rzecz szczerze, panie Stachu!

— Ja zawsze wszystko mówię co wiem, a zawsze szczerze, bo inaczej nie umiem, taki już nasz ród — Stach odpowie.

(d. c. n.)

ZAGADKA HISTORYCZNA

Z NAGRODĄ.

Był to mąż dzielny w boju i radzie, odziedziczył zdolności te po dziadku, który przybył do kraju aż z nad Renu, wraz

z królem wygnańcem. Wnuk, godny wielkiego dziada, młodzieniaszkiem już takiemi zasługami się odznaczył, iż piastował najwyższe urzędy i dostojęństwa. Niektórzy historycy przeczą jednak temu podaniu, utrzymując, iż znacznie już wówczas był starszym. Prawdy dojsć trudno, gdyż mąż ów żył jeszcze w XIV wieku.

Obierany posłem w sprawach bardzo ważnych, przyczynił się wielce do zapewnienia tronu monarszjej parze, która w dziejach polskich zajmuje najpiękniejszą kartę. Obdarzony zaufaniem i łaską króla, którego był doradcą, otrzymał władzę feudalną nad znaczną częścią kraju, z obowiązkiem bronienia go od nawały tatarskiej. Poległ śmiercią bohaterką na placu boju, walcząc pod rozkazami wielkiego wodza. Nie pozostawił potomstwa i nazwisko jego wraz z nim i bratem wygasło. Inna tylko linia tegoż samego rodu dotąd się utrzymuje, zaszczyt przynosząc krajowi.

(Rozwiązania będą przyjmowane do 10 Grudnia. Trzeba wypisać pseudonym do druku, oraz nazwisko prawdziwe, lata i adres dokładny. Do konkursu należeć mogą czytelnicy i czytelnicy do lat 15-tu. Kto nadeśle najlepsze rozwiązanie, byle niezbyt długie, otrzyma w nagrodę książkę pod tytułem: „Ostatnie dni Pompei” dla młodzieży ułożone, w przekładzie M. Gawalewicza rozwiązanie zaś będzie wydrukowane).

SZARADA.

(Malina z Siedlec dla Zosi Ch.)

*Pierwsze i trzecie drzewa powłoki,
Drugie i trzecie to, na czém zwłoki
Umarłych spoczywają.
Wszystko żyjące w lecie owady,
Z któremi trudno dać sobie rady,
Bo ból dotkliwy zadają.*

Łamigłówka zgłoskowa geograficzna.

Z następujących zgłosek: au—folk—gon—i—kap—kin—le—nan—nor—o—re—ta—ti—ty — ułożyć wyrazy, oznaczające: 1. Miasto w południowej Afryce. 2. Wyspy amerykańskie. 3. Prowincya Anglii. 4. Wyspy na oceanie Spokojnym. 5. Rzeka w Ameryce. 6. Miasto w Chinach. Początkowe i końcowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwy dwóch miast chińskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Szarady:

Ku — ku — ry — dze.

Łamigłówki w kwadraciku:

L	I	S	T
I	R	M	A
S	M	A	K
T	A	K	I

TREŚĆ: Księga pamiętnych czynów. — Co kochać trzeba, wiersz. — Prawdziwe bogactwo przez autorkę Reginki (c. d.) — Jędrak szalony p. Z. Morawską. — Fałszywy, wiersz (z drzew.) — Na co się siostry zgodziły, komedyjka p. Natalią So-kołowską. — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Zagadka historyczna z nagrodą. — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Czarni ludzie p. Z. Morawską (z drzew.) — Dobrzy figlarze wiersz. — Wszystko-rusz. — Co Zys i Janusia robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia. — Sparalizowana p. C. Falkowską. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów i ogłoszenie. Dodatek książkowy: Brat i siostra, z niemieckiego.